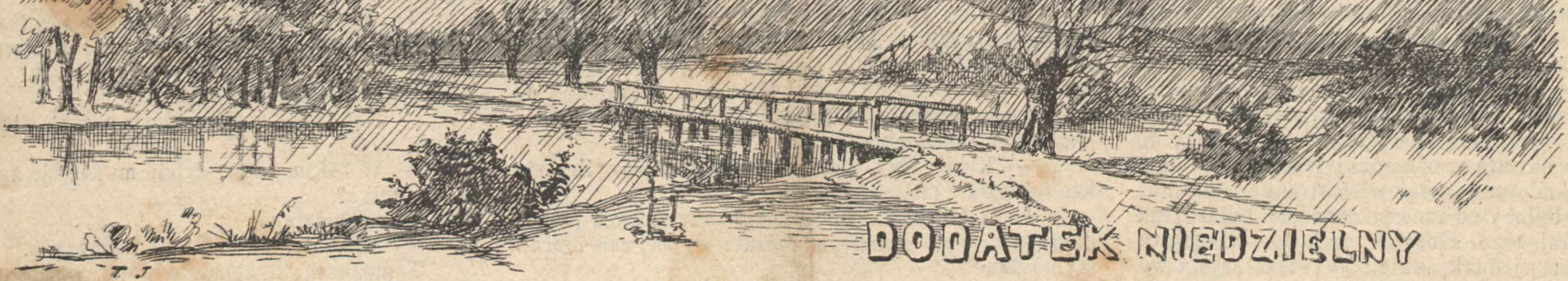


WIEK ILUSTROWANY

Państwowa Biblioteka Publiczna
5986c
Nr 10141/1902



DODATEK NIEDZIELNY

Raz na tydzień.

Poświęcając słowa głębokiej czci i serdecznej pamięci ceniom ś. p. Władysława Florkiewicza, mówiliśny o nim jako o lekarzu i człowieku. Teraz, z za grobu, w tekście świeżo ogłoszonego testamentu, przypomniał się jeszcze obywatel kraju, budujący sobie pomnik „aere perennius”. Testament ten, w którym ś. p. Florkiewicz przeznacza cały swój własną pracą zdobyty majątek na cele użyteczności publicznej, znany jest czytelnikom naszym, jak i znane są poszczególne legaty. Mieszczą się w nim jednak ustępy ogólne, które przypomnieć warto. Oto np. wstęp, który możnaby wyrzeć na grobie zmarłego:

„W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Jak niegdys troska o zapewnienie utrzymania dla siebie i siostry mojej w tym okresie życia, w którym stałbym się niezdolnym do pracy, była mi pobudką do zebrania tych zasobów majątkowych, do jakich przez pracę i oszczędność doszedłem obecnie, tak teraz myśl o społeczeństwie naszym, dla którego pragnęłem być działać nierównie więcej, aniżeli zdołałem dokonać, skłania mnie do postanowienia, aby to, co zebrałem w ciągu zawodowej działalności mojej, przysparzało pożytku temuż społeczeństwu w najdalszej przyszłości. Poczytnię więc za swój obowiązek przez wczesne sporządzenie mojej ostatniej woli określić, na jakie cele i w jaki sposób mają być użyte moje zasoby majątkowe, które pozostaną, gdy Bóg powoła mnie do życia wiecznego”.

Tak mówi obywatel kraju, który nie gasi umiłowania swego wraz z gasnącą pochodnią życia; tak mówi człowiek wierzący, który nieraz patrzył śmierci w oczy i nie chował się drżący przed jej widokiem; tak mówi uczony, który przy łożu chorego widywał nieraz coś więcej, niż bezsilną wiedzę i — źródło do-ohodu.

To także zwięzła i prosta „spowiedź lekarza-obywatela”, mniej sensacyjna niż odgrzewanie starych (przeszło przed rokiem wydanych) rewelacji Weresajewa, lecz niemniej charakterystyczna i dosadna. Lekarz, który spisywał za życia takie myśli w swym testamencie, nie gonił zapewne za karierą, nie gromadził chciwie grosza, nie zabierał głosu „w palącej kwestyi honorarium”, nie upędzał się za reklamą, nie uciekał się do szarlataneryi, nie imponował sztąfażem i akcesoryami w gabinecie swoim, nie przystrajał się w toż nieomylności, lecz wierzył w wiedzę lekarską o tyle, o ile w ogólności wierzyć można w wiedzę ludzką. Był to lekarz dobrej wiary, który wiedział, iż mylić się może, ale sumienie i wiara stały mu na straży przed wszelkimi ryzykownymi eksperymentami.

Przy łożu chorego walczył z niedomaganiem, pomagał naturze w jej samoobronie, lecz nie ludził się odkryciami eliksiru wiecznego życia. *Ne impossibilia optemus...*

Spłiniwszy swój obowiązek pod ścisłą kontrolą sumienia, które jest i będzie źródłem najdoskonalszej etyki, resztę, jako człowiek wierzący, oddawał w ręce Boga. Nadziei jednak nie tracił nigdy. „Lekarz — powiadał — powinien walczyć do ostatniej chwili, ponieważ najmniejszy zwrot może zadecydować jego o tryumfie”.

Jeżeli ś. p. Władysław Florkiewicz, mimo nieuganiania się za groszem, zgromadził znaczny majątek 100 tysięcy rubli, którym tak szlachetnie rozporządził, to zawdzięcza wieloletniej usilnej pracy i skrzętniej oszczędności.

Rozpoczynawszy zawód lekarski około r. 1860-go w latach ciężkich, pracował o własnej sile lat 40, aby zbierać nieco oszczędności. Będąc człowiekiem samotnym, z młodą siostrą swoją p. Kasyldą Florkiewicz, założył ognisko rodzinne, najpierw w Koniecpolu nad Pilicą, a potem w Warszawie.

Oszczędny, lecz nigdy nie skąpy na cele publiczne, ograniczył swoje potrzeby do domu, gdy zaś w tem ognisku, dzięki siostrzanej opiece wszystko wywijało się jak z płatka, łatwo już było odkładać grosz do grosza, zwłaszcza, gdy ś. p. Florkiewicz był wzorem usilnej pracowitości. Tak gromadził się kapitał, a nie jako bezmyślny i bezwładny skarbiec skąpeca lub egzystycyzały zapas bogacza, lecz jako po-

tencyał pracy, powołany do dalszego działania na pożytek kraju i społeczeństwa. Tę myśl świadomą gromadzonego bogactwa odsłania teraz ogłoszony testament, a nie jest on niespodzianką dla nikogo z tych, którzy znali za życia ś. p. Florkiewicza. Zgasły lekarz nie tylko zapisał imię swoje niezgasłymi głoskami w pamięci współczesnych i potomnych, ale

nadto wskazał piękny wzór do naśladowania. Gdy więc toczy się hałaśliwa i stronna polemika na temat spowiedzi lekarza, społeczeństwo nasze z dumą i uczuciem głębokiej czci obok nazwisk Chatubińskich, Mianowskich i wielu innych rzeźbi na grobowcu imię ś. p. Florkiewicza i dodaje w myśli:

— Oto takimi bywają lekarze obywatele.

Jesień myśliwego.



NA POMNIĘTEGO.

Rys. oryg. Jana Wasilewskiego.

Gdybym był powołany do tworzenia napisu nagrobkowego dla ś. p. Władysława, napisałbym na nim:

Non omnis mortuus sum.

Pracę moją, myśl moją, miłowanie moje zostawiłem z wami na ziemi mojej.

Skoromowa o lekarzach, pozwolę sobie dotknąć jeszcze jednej kwestyi, łączącej się bezpośrednio z ich działalnością. Towarzystwo higieniczne wystąpiło z bardzo pożądaną inicjatywą, aby lekarzy dopuszczano do udziału w organizacji szkolnej. Rola lekarza w tej mierze jest tak wielostronna i tak niezbędna, iż nie byłoby od rzeczy dopuścić lekarzy nawet do decydującego głosu w radach pedagogicznych. Zobaczmy jednak, jakie stanowisko zajęła wobec tej innowacji publiczność.

Na niektórych pensjach żeńskich wyznaczono już posady stałym lekarzom i zobowiązano ich do codziennego odwiedzania szkoły, celem czuwania nad zdrowiem młodzieży. Lekarz daje wskazówki we wszystkich kwestiach higieny szkolnej, porozumiewa się z nauczycielami i nauczycielkami, bada młodzież szkolną, kieruje gimnastyką, nosi się z nauczycielem śpiewu, udziela rad zbiorowych profilaktycznych, zwraca uwagę na pielęgnowanie zębów, ochronę przed chorobami zaraźliwymi etc. etc. Jest to praca ogromna, która wymaga odpowiedniego wynagrodzenia. Ponieważ przełożone pensyj nie są w stanie ponieść dodatkowego ciężaru, przeto powołały do udziału rodziców uczennic. Określono wysokość rocznej składki od uczennicy — na 2 ruble, za które korzysta z bezpłatnej porady na pensji i tych wszystkich dobrodziejstw, jakie płyną z higienicznego postawienia sprawy wychowania.

I, co sędziacie państwo? Jak przyjęto tę innowację? Przeważnie odmową.

— Mamu domowego lekarza — mówili jedni.

— Lekarz na pensji, to nowy środek wyciągania pieniędzy — krzywił się drugi.

I kiedy zawsze znalazły się pieniądze (nb. znacznie większe), na dodatkowe lekcje tańca, oplata na lekarza poszła z zadziwiającym oporem.

Szczególne zaiste stanowisko „inteligentnej“ publiczności.

Rozmawiałem właśnie w tej kwestyi z jednym lekarzem.

— Rodzice nie pojmują, jak doniosłe znaczenie dla ich dzieci ma stała obecność lekarza w szkole. Prosta wskazówka co do pory otwierania okien przy przewietrzaniu klas może uchronić ich dziecko od choroby, która pociągnie za sobą wydatek więcej niż dwóch rubli, nie mówiąc już o gorszych skutkach. A profilaktyka? a higiena? a ochrona od chorób zaraźliwych? a częste badanie dzieci w szkole?.. To wszystko są rzeczy nieocenione dla rodziny. Co innego bowiem widzieć dziecko w domu, a co innego na ławie szkolnej w odmiennym otoczeniu, które może albo pożytecznie, albo szkodliwie wpływać na młody organizm. Lekarz sumienny za owe dwa ruble odda rodzinie całe setki w zdrowiu i sile dziecka. Niech zaś nikt nie sądzi, aby to była drobna praca w tej roli lekarza szkolnego. O nie! Wynagrodzenie, które mu przeznaczają, będzie zaledwie nieznacznym pokryciem zużytego czasu i włożonych starań. Po za tem pozostanie duża doza poświęcenia i bezinteresownego spełniania obowiązku.

Takiego również zdania i my jesteśmy. Ofiar jednak zbyt wielkich niepodobna wymagać od jednostek, zwłaszcza, gdy można niewielką ofiarą zbiorową sprawę uregulować. A nawet nie będzie to ofiara, lecz tylko tanie kupno cudzej a pożytecznej dla nas pracy.

Rola stałego i czynnego a ruchliwego lekarza w szkole ma jeszcze jedną dobrą stronę. Oto może stopniowo rozpowszechnić wśród publiczności należytą ocenę profilaktyki, czyli sztuki zapobiegania chorobom. Dotychczas lekarz przywoływany bywa dopiero w chorobie, gdy tymczasem byłoby zapewne pożyteczniej przywoływać go przedtem, w celu uniknięcia samej choroby. Szkoła, jako jednostka zbiorowa, mogłaby stać się wzorem takich samych stowarzyszeń osób dojrzałych, któreby mogły mieć stałych swoich lekarzy dla czuwania nad higieną ich mieszkań i zdrowiem ciała. Dłaczegoby naprzykład istniejące Towarzystwa (wioślarskie, łyżwiarskie, cyklistów, literackie, nauczycielskie i t. d.) nie mogły się rozbić na grupy i porozumieć z lekarzami o stałą pomoc roczną? Rzucamy tę myśl dla rozważenia, chociaż nie jest ona zupełnie nową.

Na nieszczęście higiena jest u nas wciąż dziedziną zaniedbaną i lekceważoną. Dowodów tego szukać daleko nie trzeba.

Oto świeżo zakłady naukowe rozesłały rodzicom kwestyonaryusz w sprawie higieny domowej dzieci. Kwestyonaryusz przedewszystkiem spotkało — oburzenie.

— Jakto? — oburzyła się jedna z matek, z którą miałem sposobność rozmawiać — Jakto? więc ja mam się „spowiadać“, czy przebiegam dziecko po powrocie, czy zmieniam na noc jego bieliznę, czy kąpie

go co tydzień?.. Mam mierzyć pokoje i „zdradzać“ tajemnicę, ile osób spija w jednym pokoju?.. Żeby później wyciągano wnioski o moim bycie codziennym. Co to kogo obchodzi?..

— Ależ bardzo obchodzi! — odrzekłem — ale nie byłoby specjalnie pani lub kogo innego, ani ich stosunki majątkowe, tylko warunki, w jakich wzrasta i wychowuje się dziecię. Nikt też nie zmusza panią do wypisywania nazwiska, lecz tylko uprasza o wynotowanie dat niezbędnych.

— Kiedy i tak wiedzieć będą w szkole. Zresztą kto im będzie mierzył pokoje.

I oto powtarza się to samo przy spisach jednodniowych, gdzie „ambicja“ kazała wypisywać nieraz mylne dane.

Tym razem jest o tyle smutniej, iż rzecz dotyczy publiczności rzekomo inteligentnej, posyłającej swe dzieci do szkoły. Można też z góry się spodziewać, iż wiele blankietów albo wcale nie powróci wedle swego adresu, albo powróci z fantastycznymi danymi.

Jakże bowiem przyznać się, że dziecko wymuskałe i chodzące w świecącym się nowością mundurku nie zmienia bielizny, nie kąpie się, i spija na jakiejś sofce w ciasnym pokoiku wraz z resztą rodzeństwa, podczas, gdy salon imponuje fałszywym szykiem i szychem.

Swoją drogą Towarzystwo higieniczne zbyt rachując na „inteligentnych“ rodziców przeholowało w drobiazgach i mogło zrazić nawet chętniejszych lubo mniej świadomych zasad higieny.

Na początek należało ograniczyć się mniejszą ilością rubryk, a po zrobieniu pierwszej próby, ponowić eksperyment już na przygotowanym gruncie.

Jesteśmy pewni, że tym sposobem zebrałoby i dokładniejsze i liczniejsze dane.

Mazur.

*

Wbrew wymaganiom statystyki.

W rubryce wypadków z udziałem Pogotowia, od czasu do czasu zdarza się znaleźć w dziennikach notatkę o mężczyźnie lub kobiecie, znalezionych na ulicy w stanie ogólnego osłabienia. Notatkę kończy zwięzły frazes: „Przyczyną niemocy był głód.“



A więc na słynnym z filantropii bruku warszawskim można rzeczywiście osłabnąć z głodem?

Długo namyślałem się i roztrząsałem kwestyję powyższą i długo łamałem głowę nad rozwiązaniem tego smutnego ze wszech miar zagadnienia społecznego. By ulżyć mózgowi, wymyśliłem sytuację, której głównym aktorem jestem we własnej osobie.

Posnałem się do dzielnego przypuszczenia, że praca literacka i dziennikarska wyszła naraz z mody i że urwały się wszystkie moje dochody.

— W takim razie, wezmę się do pracy biurowej — powiadam sobie.

Puszczam się na poszukiwania posady, lecz przekonuję się ze smutkiem, że stanowisko moje pracownika społecznego uległo ważnym zmianom. Moda wytrąciła mi facha z ręki. Jako pracownik pióra, miałem, że się tak wyrażę, wyrobioną praktykę oraz wiarę w moich wydawców. Niektórzy nawet znaleźli, że są specjalności na niwie piśmiennictwa, w których wybitnie wyrobiłem się. Z tego powodu, praca piórem dawała utrzymanie mojej rodzinie, złożonej z siedmiu osób.

Ktoś chciał podstępnie zająć w piśmie moją rubrykę, na co nie zgodził się wydawca i redaktor, raz, że nie chciał odebrać mi środków istnienia, a powtórę, że mój konkurent był słabszym, niż ja, specjalistą.

Teraz, starając się o posadę biurową, z boleścią spostrzegam, że grozi mi konkurencja dziesiątków tysięcy takich, jak ja, biedaków, i że wyodrębniony z fachu, jestem tylko atomem pomiędzy współkandydatami, od których jest wymagana jedynie umiejętność kaligrafii.

Pośrednika nudziło moje dreptanie; mówi mi wręcz:

— Nie durz pan sobie głowy i odrzuć nadzieję uzyskania posady w biurze.

To mnie zmusiło do obniżenia skali wymagań. Zaczęłem szukać zajęcia woźnego, a nawet stróża domu.

Usłyszałem odpowiedź:

— Na taką posadę masz pan za wiele inteligencji.

— W takim razie, dajcie mi zajęcie zwyczajnego robotnika?

Odpowiedziano:

— Masz pan za mało sił fizycznych.

Tymczasem utrzymanie mojej rodziny wymagało nieustannych nakładów pieniężnych.

Dla sprostania potrzebom, zmniejszyłem mieszkanie z czterech pokoi do jednego, w tem już i kuchonka. Po wyczerpaniu grosza zapasowego, na przykład zlikwidowałem polisę asekuracyjną, potem wyprzedziałem: fortepian, kolejno kosztowności i meble, odzież zbyteczną, następnie odzież mniej zbyteczną, w końcu pościel. Przez następne pół roku czerpałem drobne wsparcia od zamożniejszych krewnych, a gdy i to źródło zostało wyczerpane, moja żona, istota wychowana „w porządnym domu“, wśród względnie dostatku i zdala od pojęć krwawej walki o byt, rzekła pewnego razu:

— Teraz już musimy umierać z głodu! Nieprawdaż?

We mnie obudziła się nagle energia Robinsona Kruzoe, wyrzuconego na bezludną wyspę.

— Nie umrzemy z głodu.

— Lecz zwróć uwagę, że statystyka corocznie wykazuje pewną liczbę zmarłych z głodu wśród murów Warszawy.

Odrzekłem zwięźle:

— Dopóki mogłem jeszcze czerpać pieniądze z tych i owych źródeł, które były zabytkami mojej dawnej wielkości, statystyka była mi groźną rzeczywistością! Lecz w ciągu ubiegłej nocy doszedłem do wniosku, że w stosunku do człowieka zdrowego, w miarę inteligentnego i obeznanego z miastem, statystyka wypadków śmierci głodowej musi być bezsilna. Dopóki ostatnie szelagi przypominały mi moją piękną przeszłość, szepejąc o ucha konwencyonalne: „nie wypada,“ w istocie zacząłem z wolna wpelzać w dwulinię tej nieszczęsnej rubryki statystycznej. Wczoraj wieczorem zauważyłem, że Staś nabiera krzywych nóżek, Mania ma odziebite rączyny, Kasiś przestał chodzić i zaczyna się ozogaczać. Ty zaś, moja kochana, w tych zszarzanych i podartych sukniach stajesz się coraz podobniejsza do gałganiarki.

To mi dodało bodźca do czynu. Jeszcze jedna chwila, a stałbym się mięsem wystawionem na działanie pocisków armaty, zwanej „statystyką śmierci głodowej.“ Idź i powiedz tej statystyce, że jest niemowlęciem głupia.

Co powiedziałwszy, ogniście, niby rumak stepowy, wybiegłem na ulicę, przepelnioną tłumem ludzi, którzy jeszcze wczoraj stanowczo odmawiali mi prawa istnienia.

Na początek, przypominałem sobie z czasów szkolnych ćwiczenia gimnastyczne i z okrzykiem: „wszystko wypada człowiekowi, który ma apetyt!“ chodziłem na rękach, Ciekawi utworzyli koło i trzymając się od śmiechu za boki, dość chętnie ciskali pieniądze do czapki, którą trzymałem w zębach.

Ludziśka nie lubią twarzy skrzywionych i lzwych oczu. Odwracają się z niechęcią od żebraka, lecz płacą tym, którzy ich bawią, chociażby nawet w sposób błazeński.

W ciągu trzech dni rzemiosła pajacowskiego, uzbierałem pokaźną kwotę 7 rub. 60 kop. Za te pieniądze wydzierżawiłem prawo pojenia koni dorozkarskich i odprzedziałem je tegoż dnia z zarobkiem 2 rub. 40 kop. Mając już kapitał 10 rub., kupiłem cztery koszyki, napelniałem je owocami (ab. koszyki były nadzwyczaj czyste, owoce nadzwyczaj dojrzałe i stosunkowo tanie). Towar rozdałem: żonie, teściowi, rezydującemu w moim domu, i dwojgu starszym dzieciom. Moi agenci, rozstawieni w czterech ruchliwszych punktach miasta, przynieśli mi dochodu dziennego na czysto po 90 kop. — razem 3 rub. 60 kop. (młodsza dziesiątkę dozorowała zniechęcona teściowa). Ja, najsprytniejszy ze wszystkich, roznosiłem przed teatrmi i kawiarniami bukiety kwiatów, a że wypowiadałem damom komplementy po francusku, miałem czystego zarobku po 4 rub. 50 kop. dziennie. Tak więc, w ciągu pierwszego miesiąca zarobiłszy na czysto 243 rub., z czego, po potrąceniu kosztów mizernego utrzymania, mogłem zaoszczędzić 200 rub.

Po upływie trzech miesięcy pracy niezmordowanej, byłem w posiadaniu 620 rub. (wliczam procenty składane).

I gdy pracowałem nad obliczeniem tej kwoty, przybiegł do mnie właściciel wielkiej fabryki.

— Zastój chwilowy — zawołał — grozi moim olbrzymim zakładom ruina. Dla ożywienia produk-

cyi, potrzebuję na gwałt 620 rub., lecz, niestety, kredyt wszędzie, gdzie było możliwe, już wyczerpałem. Włóż swój kapitał w moje przedsiębiorstwo, a...

— Ani mi się waży! — wtrąciła moja żona. — Czy chcesz nas znowu pograżyć... i t. d.

Kobiety nie znają się na interesach. Nędza nauczyła mnie jasnowidzenia. Włożyłem pieniądze w fabrykę, która była czuła jak waga aptekarska. Moje 620 rub. przywróciły jej równowagę. To spowodowało nagle i niesłychane podniesienie się cen akcyi (nabyłem ich sześć sztuk).

I proszę sobie wyobrazić, w ciągu niespełna dwóch tygodni po sprzedaży akcyi na giełdzie, raczej gwałtownym wydarciu mi ich z rąk przez agentów przysięgłych, otrzymałem bagatelną sumkę 12,500 rub.

Obróciłem temi pieniędzmi kilkaset razy w ciągu półroczka.

Kupowałem domy i place bajecznie tanio i w parę godzin odprzedawałem je z nadzwyczajnym zyskiem. Pomiedzy innymi, udało mi się za sumę 56,000 nabyć jedyny most miejski, ponieważ sądzono, że most trzeci stanie lada chwila — i że stary będzie zbytecznym.

A gdy przekonano się, że most trzeci stanie dopiero w przyszłości nieokreślonej, miasto odkupiło odemnie wązka i ciasną klatkę za... no, kto zgadnie? Za drobną sumkę 2,564,978 rubli, co z mojej strony było nawet uczynkiem filantropijnym, ponieważ w tem położeniu rzeczy, śmiało mogłem żądać miliardów.

Oto treściwy opis moich mrzonek na temat: czy śmiałością, pracowitością, wyzyciem się fumów wielkości, a potem rzutkością i szczęściem, człowiek skazany przez statystykę na śmierć z nędzy, może w ciągu niespełna dziewięciu miesięcy zostać milionerem. F. R.

Chwilka — japońska.

(Rzecz dzieje się w hotelu, gdzie zatrzymali się nasi goście japońscy).

JA (dyskretnie pukając do numeru). Czy wolno? GŁOS Z WEWNARTZ. Herein!..

Drzwi się otwierają. W pokoju przy biurku siedzi dr. filozofii Kumao Takaoko. Na widok wchodzącej osoby nieznanym, japończyk zwraca ku mnie pytająco skośne lecz bystre oczy.

JA (z ukłonem). Czy mam zaszczyt mówić z dr. Perskie Oko?

Dr. KUMAO (poprawiając). Takaoko.

JA (poprawiając także). Mówi się po polsku: "Taki-oko..." Pan dobrodziej zapewne słabo władającym naszym językiem, ale to nic nie szkodzi!.. Zauważyłem, że język japoński zbliża się niezmiernie do niemieckiego... "Herein" naprzykład!..

Dr. KUMAO (przerwywając — tonem lekceważącym). Widzę, że pan nie zna zupełnie języka japońskiego!..

JA (starając się zaimponować). Za pozwoleniem! Hakodadi-jokohama-fusijama-miakko!..

Dr. KUMAO (wzruszając ramionami). Jaka to tam japońszczyzna!

JA (obrażony). A Sada Yakko? A Kawakami? A Jasiński?..

Dr. KUMAO (ożywiając się). A propos Jasińskiego... Wie pan, spotkała mnie miła niespodzianka?

JA. Prawda!.. Pyszny chłop!..

Dr. KUMAO. Nie o nim myślę w tej chwili, lecz o was!.. Otóż, przeczytawszy kilka jego rozpraw byłem przekonany, iż zastanę was na znacznie niższym stopniu kultury.

JA (z przekąsem). Niepodobna!

Dr. KUMAO. Wyobrażałem sobie, że tutaj masa antochtonów, zwana z łacińska publicznością, pod bitą przez grupę hegemonów-mydlarzy, odgrywających podobną rolę, jak w Chinach mandżurowie, zakrzepła w swych formach przeżytych i otoczyła się murem chińskim ciemnoty.

JA (wciąż z ironią). Trafne spostrzeżenie!

Dr. KUMAO. Do takiego wniosku upoważnia mnie kilka wywodów Jasińskiego. My np. jako naród młody kulturalnie usiłujemy uczyć się u narodów zachodnich. Badamy więc w Europie naukę sztuki, wy zaś zapożyczacie się od nas i znajdujecie nawet niedościgłe wzory.

JA (zdziwiony). A to jakie, jeśli łaska?

Dr. KUMAO. A Kunjoszi, któremu do pięty nie dorósł Matejko? A Hokusai, który jest piramidą Cheopsa wobec Siemiradzkiego! A Outamara!..

JA (ze skruchą). Istotnie, tak powiedział Jasiński.

Dr. KUMAO. Zresztą, nie potrzeba i tych przykładów. Miasto wasze przedstawia się nieźle, a na bocznych ulicach nie jest wcale brudniej niż w Tokio, albo Jokohamie, ale widziałem także siedziby waszych autochtonów-chłopów... Okrutnie mizerne!..

JA (zagadując). A czy szanowny doktor filozofii był już na wystawie kucharskiej.

Dr. KUMAO (urazony). Ja, proszę pana, studyjuję przeważnie nauki społeczne.

JA. Ależ i społeczeństwo musi przecież ja dać!

Dr. KUMAO (tonem mentorskim). O ile na to wprzód zapracuje... Otóż zauważyłem, że wy tutaj nie bardzo lubicie pracować. My, naród młodszy, daleko więcej zrobiliśmy w krótszym stosunkowo czasie. Za to też nazwano nas anglikami wschodu. Natomiast was żartem nazywają często „francuzami północy“, bo nikt lepiej od was nie umie się bawić i stroić. U was tu z pozoru tak wesoło, że nawet o mnie napisaliście, że ja „bawię“ w Warszawie. Nie, panie, ja nie „bawię“, ja studyjuję!..

JA (protestując). Ależ to się tak tylko mówi.

Dr. KUMAO. W każdym razie ten sposób mówienia jest charakterystyczny.

JA (zagadując). Możebyśmy poszli na wystawę zabawek!..

Dr. KUMAO (śmiejąc się). Jeszcze lepiej!

JA (zdekoncertowany). No, to na wystawę chińsko-japońską!

Dr. KUMAO. Znam to lepiej od was (uderzony nagłą myślą). Ale wiesz pan co? Możebyś mi pokazał waszego mydlarza?.. To zapewne typ ciekawy. Muszę go przestudyować i opisać.

JA (przestraszony, wycofując się za drzwi). Żegnaj szanownego pana!

Nix.



Rys. oryg. T. Jaroszyńskiego.

Piotr Loti.

Nieszczęście starego więźnia.

przekład z francuskiego.

Było to zdarzenie bardzo proste, a opowiedział mi je Yves pewnego wieczora, po odwiezieniu do przystani na swej szalupie oddziału deportowanych, których wielką partję wyprawiono właśnie do Nowej Kaledonii.

W liczbie więźniów znajdował się starzec, co najmniej 70-letni, piastujący czule zamkniętego w małej klatce biednego wróbelka.

Yves zawiązał rozmowę, ot tak, dla zabicia cza-

su, z tym starym, którego fizygnomia była, jego zdaniem, dość przyjemną, a którego wspólny łańcuch spajał z młodym i wstrętym jegomościem, o minie drwiącej, o krótkim wzroku, okularami, nałożonymi na nos cienki i sinawy.

Stary włóczęga spędził był życie na publicznych drogach i został uwięziony po raz piąty czy czesty, za wałęsanie się i kradzież.

— Niemożliwe jest jednakże nie kraść, — mówił — kiedy się raz kraść zaczęło, gdy się niema żadnego fachu, a ludzie nie chcą dać zajęcia. Przecież trzeba jeść cośkolwiek, wszak prawda? Ostatnim razem skazali mnie za ukradzenie worka kartofli, który znalazłem na polu wraz z furmańskim biczem i dynią. No, i powiedzcie mi, proszę, czy to nie mogli byli dać mi umrzeć we Francji, zamiast wysyłać mnie tak daleko, takiego starego?

I uszczęśliwiony tem, że ktoś słuchał go ze współczuciem, pokazał Yves'owi to, co miał najdroższego na świecie: klatkę z ptakiem.

Wróbel był oswojony, znalazł jego głos i od roku przeszło był jego towarzyszem więzienia; wysiadywał u starego na ramieniu.

Wieleż to on poniósł zachodów, aby otrzymać pozwolenie na zabranie z sobą ptaka do Kaledonii. Na drogę należało mu zrobić przyzwoitą klatkę; wystarczyć z kąd drzewa, nieco drutu i zielonej farby, by wymalować i upiększyć jego dzieło.

Przypominam sobie dokładnie, co Yves powiedział mi o ptaszku:

— Biedny wróbelku! — rzekł, — za cały pokarm służył mi kawałek czarnego, więziennego chleba. I zdawał się, pomimo to, być zupełnie zadowolony. Skakał sobie w klatce, jak każda inna ptaszyna.

W kilka godzin później szalupa przybiła do okrętu, na którym zesłańcy mieli się udać w dalszą drogę. Yves zapomniał już był o włóczędze, gdy przypadkiem przeszedł znów koło niego.

— Weź tu, proszę, — powiedział stary, zmienionym bardzo głosem, podając mu klatkę. — Daję ci ją, może ci na coś posłuży i zrobić ci przyjemność.

— Ależ nie, nie wezmę, — zaprotestował Yves. — Wiesz sam dobrze, iż powinienem ją zabrać ze sobą. Wróbel będzie ci tam miłym towarzyszem.

— Ah, — odparł stary, — wróbla już nie ma. Nie wiedziałeś o tem? Już po nim!..

Jesień myśliwego.



NA TROPIE.

Rys. oryg. Jana Wasilewskiego.

Jesień myśliwego.



POLOWANIE W NOCY.

Rys. oryg. Jana Waslewskiego.

I dwie lzy smutne niewymownie, potoczyły się po jego twarzy.

Podczas przeprawy powstało było chwilowe zamieszanie, drzwiczki klatki otworzyły się i wystraszony wróbelk uleciał z niej. Wpadł natychmiast w morze, bo skrzydła miał podcięte. Ah! ta chwila strasznej męki. Patrzeć bezsilnie, nie mogąc nieszczęście zaradzić, jak ptaszyna trzepocze się i kona, unoszona przez bystrą fale! Pierwszą myślą więźnia, myślą bardzo naturalną, było zwrócenie się do Yves'a z błagalną prośbą...

Lecz poniechał tego po zastanowieniu, zbyt świadomy był swej osobistej degradacji: kłóżby ulitował się nad wróblem starego nędzarza, kto zechciałby go wysłuchać! Nie mógł przecież przypuszczać, iż zatrzymają statek, by ratować tonącą ptaszynę — i to w dodatku należąca do więźnia, nie mógł roić marzeń tak bezpodstawnych!

Więc stał w milczeniu i patrzył, jak małe, trzepoczące się wciąż ciało, oddalało się od okrętu, unoszone w bryzgach piany. Poczuli się straszliwie osierocony na zawsze i ciężkie lzy, lzy najgłębszej, samotnej rozpacz, zamroczyły mu oczy. Jego towarzyszy łańcucha, młody jegomość w okularach, śmiały się, patrząc na płacz starca.

Teraz, gdy ptak zginął, włóczęga nie chciał zachować klatki, którą z tak czułem staraniem zrobił dla małego, zmarłego stworzonka. Ofiarował ją poczciwemu marynarzowi, który zgodził się być wysłuchać historii jego życia, pozostawiał mu tę pamiątkę przed wyruszeniem w daleką i ostatnią podróż.

Yves przyjął ze smutkiem ten dar: opustoszone gniazdko, by samotny starzec nie przypuszczał, iż pogardza rzeczą, która kosztowała go tyle pracy.

Zdaje mi się, że nie potrafiłem wcale oddać tego, co w tem zdarzeniu, tak, jak opowiedział mi je Yves, było nad wyraz przejmującym.

Działo się to późnym wieczorem i miałem właśnie zamiar udać się na spoczynek. Lecz stwierdziłem ze zdumieniem, iż choć widziałem w życiu, nie wzruszając się zbyt mocno, wiele strasznych nieszcześć, dramatów, morderstw — ten ciężki ból starca przesyłał mi serce — i mógł nawet sen mój zakłócić.

— Gdyby można było, — rzekłem — posłać mu innego ptaka.

— Tak, — odparł Yves; — ja również myślałem już o tem. Kupić mu pięknego jakiego ptaka i zawieźć jutro w tej biednej klatce, byle tylko zdążyć przed odbiciem okrętu. Dostyć to będzie trudnym. I pan jedynie mógłby otrzymać pozwolenie na pojechanie zrana do przystani i wejścia na pokład, by wyszukać starego, którego imienia nie wiem. Ale... ale... wyda się to wszystkim bardzo śmiesznem.

— O zapewne! Na tym punkcie nie należy sobie robić żadnej iluzji.

Przez chwilę, na myśl o tem, doznałem prawdziwego zadowolenia i śmiałem się tym dobrym wewnętrznym śmiechem, który nie przejawia się prawie na zewnątrz.

Jednakże nie wykonałem swego zamiaru. Gdy obudziłem się nazajutrz i gdy pierwsze wrażenie minęło, projekt wydał mi się niewłaściwym i dziecinnym. Pierwsza lepsza zabawka nie koi oczywiście takiego jak ten, smutku. Biedny, stary, samotny włóczęga! Najpiękniejszy z pomiędzy ptaków raję nie zastąpiłby mu skromnego, szarego wróbelka z podciętymi skrzydłami, wychowanego na chlebiec wieziennym, ptaszynę, która umiała rozbudzić nieskończone słodkie uczucia i lzy w głębi tego nieczułego, na pół obumarłego serca.

KONIEC

Henryk Siemiradzki.

Nie to jest zasługą Henryka Siemiradzkiego, że skończył z medalami i stypendjami akademie petersburską, bo wielu jest takich, lecz to, że ją skończył szczęśliwie.

Szczęśliwie, to znaczy, że przeszedszy szkołę przyswoił sobie to tylko, co było najwięcej warte, odrzucił zaś wszystko liche i małej wartości. Przyśwoił więc sobie poprawny rysunek, łatwość w układaniu złożonych obrazów, znajomość składu ciała ludzkiego, anatomie, perspektywę i t. d. i t. d. Odrzucił zaś całą rutynę szkolarską, cały przestarzały kierunek manierycznego traktowania sztuki, według zasad z góry obmyślanych, odrzucił używanie generalnych sosów, w których wielu ludzi pogrzyżyło swe talenty raz na zawsze. Odrzucił lub zmodyfikował pewne szematy w układaniu kompozycji. Umiał też odnaleźć sobie właściwy sposób widzenia świata starożytnych. Nie zrażał się dyscypliną akademicką, która wymagała np. od uczeniów wiecznie jednych i tych samych motywów pseudo klasycznych, nudnych, zwanych programma.

Siemiradzki przebrnął przez te wszystkie męki pomyslnie i w rezultacie uratował swoją indywidualność artystyczną — i oto prawie że stworzył rodzaj, dotąd przez nikogo niemal nie uprawiany (lub nie uprawiany w ten sposób). Ale S. wstępując do szkoły wnosil z sobą bardzo wiele, był już bowiem człowiekiem dojrzałym, mającym swoje drogi, przekonania i zasady, który wraz z ową równowagą wyrobienia życiowego, cierpliwie i spokojnie spogląda na otaczające głupekstwo, pomijając je i biorąc z otoczenia to, co ma istotną wartość; wyciągnął więc Siemiradzki ze szkoły co dlań było artystycznie pożyteczne.

Nie tak jak wielu młodych, którzy nie mogąc wytrwać w gniotącej atmosferze porządku i rutyny zwietrzalej, wprost, jak np. Podkowiński, Pankiewicz i inni, uciekali z Akademii.

Siemiradzki przetrwał do końca i ze szkoły wyszedł wyjątkowo obronną ręką. Talent jego spotęgniał, wyszlachetniał i zdobył to, co się nazywa mistrzostwem, t. j. zdobył możliwość wykonywania swych projektów, równoważając pomysły artysty z wykonaniem, wcieleniem myśli w czyn, w dzieło.

Jako indywidualność szczególną zaliczyć należy Siemiradzkiego do rodzaju malarzy dekoratorów szlachetnych, w wielkim stylu. Niewielu ludzi posiada ten dar, ogromnej wartości, widzenia przyrody obrazowo, a obrazu dekoracyjnie. Dekorator w szlachetnym stylu to wielki talent malarski, który podporządkowuje wszystko, aby w obrazie osiągnąć malowniczość bądź co bądź. Rzecz on przed oczyma, co nie będzie ani zbyt smutne, ani zbyt poważne, ani głębokie, lecz coś, co będzie przedewszystkiem piękne, tem pięknem bezinteresownego psychologicznie spokoju, jaki odczuwamy, patrząc na każde dzieło sztuki, czy niem będzie szafa, dywan, dom, lub wreszcie tego właśnie rodzaju obraz.

Patrząc na obrazy Siemiradzkiego nie odbiera wstrząsających wrażeń, przeciwnie, używa niczem niezamąconego, słodkiego spokoju estetycznej natury, bez względu na to czy widzi przed sobą „Palenie dawnych chrześcian“, czy też „Taniec wśród mieczów“. Tam niema tragedji, zarówno jak i tu; oba obrazy są jak oodne d'wyany. E bastanza!

Zagłębiał się aż do dna zagadkowych tajemnic duszy ludzkiej, badał i podpatrywał i ogarniał w obrazach grę wyrazu i napięcia w zjawiskach przyrody, nie umiał Siemiradzki psychologiem też w znaczeniu malarskim nie był. W sztuce swojej postępował raz obranym, mierznie szerokim lecz wygodnym szlakiem.

Dociekał, doświadczał, prób na tej trudnej drodze nie uprawiał zachodów. Nowe prądy, świeże powiewy ożywcze z Zachodu czy Północy bynajmniej nie znajdowały w nim odbicia, szedł tak, jak gdyby mówił na to wszystko:

„Wy sobie, moi panowie, ścierajcie się o kierunki nowe czy odnawiane, wy sobie lby nrywajcie w poszukiwaniu absolutu w sztuce, lub też przyczyn wyższości impresjonizmu nad symbolizmem. Mnie to nic nie wzrusza, spierajcie się o idee, o swobodę w postępie świeżych zasad układania obrazów lub też o to, by obrazów nie układać wcale.

Męście się i sami siebie pozerajcie! Smaczne-go apetytn! Mnie to nic nie wzrusza.

Wylewajcie ze zgrzytem dusz waszych wasze bóle, wasze dreszcze artystyczne, rozsypujcie szczerdże, niby niedokwitłe pęki kwiatów wiśniowych, te niedomówione, te niedomalowane zagadkowe wizje, które ledwie setny z tłum przeoczuje. Pijcie wasze miody z tych niedokwitłych kielichów, te miody pełne trucizny. Omdlewajcie rodząc te wasze pomysły, co to przychodzą nie wolane w głodzie i chłodzie, w jakąś nieprzespaną gwieźdną noc, w piersi na miarę nie krawca, w piersi uperłonej rosą wśród zorzy porannej.“

Te zakulisowe tajemnice wielkiej świątyni nie były znane Siemiradzkiemu. Nie krajał też swoich płóciom ani gruchotał posągów, tak jak to czynili ci... nieodżałowani Podkowiński i Kurzawa, dwa szamoczące się duchy wniosło. Nie tak też jak ów nieszczęśny, pełen szczerego hamletyzmu, zgasył tak tragicznie mistrz, którego imię... Alexander Gierzyński.

Siemiradzki szedł po olimpijsku i był ponad dramatem i ponad tragedją w życiu. Z jego obrazów wiało spokojem i słodczą rozkoszą. Umiał on zapalać... i Panu Bogu świecę i dyabłu ożóg.

Czy miał uznanie po za granicami swojego kraju? Miał je bezwątpienia, szczególnie w sferze artystów. Włosi i Niemcy bardzo cenili Siemiradzkiego. Prasa zaś, z łatwo zrozumiałych powodów, zachwyty chowała dla swoich. Najświeższe głosy niemców jakoby Siemiradzki podobny był do Pilotiego lub Mackarta, wyszły z pod pióra niekompetentnych i techną zawzięcia rasową. Siemiradzki nietylko że nie jest podobny do żadnego z niemieckich malarzy, lecz, co ważniejsze, nie przypomina żadnego z europejskich, uprawiających tenże rodzaj. I Piloti i Mackart używali tych wstrętnych, generalnych sosów,

o których wspominam na początku niniejszego szkicu; sosów tych u Siemiradzkiego niema ani joty. Pobija też on tych majstrów czystością barwy, szlachetnością i szerokością układu, a jest już niedościgłym wprost w krajobrazie i perspektywie powietrznej, w czem niemcy bardzo kuleją.

Wyższość Siemiradzkiego polega też na swobodnym układzie. Żadnego przeciążenia, t. j. braku równowagi, w wykończeniu zaś poprawna lekkość bez tak zwanego „pilowania“.

Czystość barw u Siemiradzkiego nie razi surowizną, mimo całą rozmaitość.

Dużo więc przetrzeni, wiele wdzięku i miękkości, szczególnie w płótnach wielkich. Dalej, zrozumienie i odczucie charakteru świata starożytnych posiadał Siemiradzki wyjątkowo, tak że obrazami swymi zmuszał niejako widza do wiary w ten jego świat. Wiązało się tu wszystko tak i rozwijało naturalnie, że patrzący był zniewolony wierzyć, że właśnie w tym zamarłym świecie tak bywało naprawdę, a nie inaczej.

Ani chwiejności, ani naciągania u Siemiradzkiego nie spotykamy, w stylu wszystko się stroi.

Jakie stanowisko zajmuje Siemiradzki w sztuce polskiej?

Aby na to pytanie odpowiedzieć, należy porównać dzieła jego z innemi.

Michał Anioł powiedział, że „sztuka, która nie jest zabawą, przestaje być sztuką“, lecz gdyby Michał Anioł dożył naszych czasów i był świadkiem tych wstrząsających ewolucji przez jakie wogóle wszystkie sztuki w czasach ostatnich przeszły i przechodzą, zapewne cofnąłby swoje słowa. Sztuka naszych czasów objęła i rozwinęła nietylko stronę techniczną, obrazową i plastyczną, lecz zapanowała też w najidealniejszych i najbardziej ekstatycznych krańcach wiecznie szukającej duszy ludzkiej.

Jeśli starzy mistrze tak świetnie posiadli tajemnice rzemieślniczej, technicznej strony sztuki, to artyści naszych czasów poszli dalej, wyprowadając swoje psychiczne, ogólnie ludzkie lub narodowe ideały. Oprócz hasła „sztuka dla sztuki“, stworzyli nowe: „sztuka dla ducha“. Moznaby to określić dobitniej, mianowicie, że starzy malowali świetnie farbą i olejem, młodszy zaś także nieźle krwią i łzami.

Siemiradzkiego moglibyśmy postawić w szeregu mistrzów z czasów odrodzenia, np. blisko Pawła Veronesa, Matejkę, zaś obok Danta lub wyżej.

Ale też jeśli w duszy Siemiradzkiego przemieszkował jakiś idealny Prometeusz, to alegoryczny sęp czy orzeł, który miał szarpać jego wnętrzności, nie targał jego trzew, gdy przeciwnie, mówiąc o Matejce musimy powiedzieć, że tego mistrza szarpał okrutny ptak przez życie całe aż do grobu. O Matejce możemy powiedzieć bez cienia przesady, że cierpiał za miliony i że prócz malarza, był w nim ten wielki, wiecznie rozżalony, nieutulony duch. Dlatego też dzieła Matejki przemawiają do nas zwłaszcza tak wzniosłe, dlatego wstrząsają i podnoszą najświętsze ideały polskie.

O sztuce Siemiradzkiego wraz z mistrzami odrodzenia, można by rzec to, co powiedział o sztukach wogóle (Jean Paul) Rychter, że jest ona idealnem obcowaniem umysłu z przyrodą. Starzy też niewielki wpływ wywarli na literaturę owoczesną, niewielki lub żaden, gdy przeciwnie malarze naszych czasów wywierają go wciąż. W Niemczech Böcklin, a u nas ot ci wszyscy prometejscy twórcy jak Matejko, Grotger, Kossak (ojciec), Chełmoński, Brandt i inni. Oni to pośrednio rozżarali święte ognie w piersiach naszych pisarzy.

Oni... którzy pamiętali na słowa mistrza: „Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił“.

To też obrazy Siemiradzkiego oglądać możesz, ba... i podziwiać, nawet upajać się niemi choćby po dobrym obiedzie przy czarnej kawie z likierami, przed dziełami zaś dajmy na to Matejki, jeśli kochany czytelniku nie masz wystygłej duszy, sykniesz z bólu. Tak! bo oto kiedy Matejko rozpięty na krzyżu swych idealnych żalów, tęsknot i bezgranicznej męki, płacze łzami zadumy przez oczy Stańczyka lub rzuca gromy proroców nieszczęśliwej ojczyźnie, w oczy zawstyżonemu królowi i przerażonej szlachcie przez usta Skargi, Siemiradzki, jak patrycjusz z Sybaris, spoczywając na łożu wykładanem kością słońsiową, złotem i perłowką konchą, spełnia czarę szumiącego Falerna i maluje „Świeczniki Nerona“ lub bachusowe orgie.

A cóż robią inni.

Oto Brandt każe ruszać w stopy drużynie kozackiej z hetmanem na czele. Odkrywa niewidziane obrazy i „Jadą lachy trzema szlachy, a kozacy czterema wałą“, albo rzuca całe chmury skrzydlatych rycoerzy, co jak szaleństwem rozpetane wichry-huragany żygają śmiercią w paszeczce wezdra.

Siemiradzki też rzuca, tylko płomy słoneczne w dziedzinie rzymskiego satrapy, kiedy Grotger jak niebotyczna, pełna słówików topola, co wybierzawszy wierzchołkiem pod obłoki, składa rodakom całe cykle arcydzieł, Siemiradzki każe gibkiej odalis.

ce lekko tańczyć wśród mieczów i tańczy nawet pięknie.

Kiedy Chelmoński na opajęczonym ugorze, na który przedtem żaden z malarzy nie zwracał uwagi, kuże wió i rozsunąć dziwne pasma swej mazowieckiej różowołydej Arachnie w „Babiem lecie“, Siemiradzki składa objaty Apollinowi, bogowi piękna starożytnych i maluje dajmy na to scenę w cyrku rzymskim.

Między malarzami tymi i Siemiradzki jest ta różnica, że jeśli tamci malowali obrazy i zarazem epos narodowe tworząc tem sztukę naszą, Siemiradzki malował tylko obrazy i do sztuki swojego kraju nie wnosil idealnie nic. Tak że gdyby np. zabrano go nam z jego sztuką, utracilibyśmy piękną szatę wierzchnią, lecz gdyby nam zabrano tych wyżej wymienionych byłoby tak, jakby żywe serce z pierś wydarto.

Dla tego też Henryka Siemiradzkiego ochrzciłbym mianem „arbitr elegantiarum“.

St. Masłowski.

Na otrzymane wezwanie nadsyłam słów kilka o osobistym poglądzie na działalność ś. p. Henryka Siemiradzkiego.

Cześć wielkiemu artyście przede wszystkim. Mistrz Siemiradzki wywierał swojemi dziełami bezwzględnie kolosalne wrażenie; pamiętam jeszcze, w czasie studiów moich zagranicą, z jaką chwałą i podziwem wyrażali się o nim koledzy rozmaitej narodowości. Słowo Siemiradzki elektryzowało, a duch taki u młodzieży jest odbiciem świata artystycznego Europy; samo to świadczy, czem Siemiradzki jest dla malarstwa wogólności, mówię jest, prawdziwie bowiem talenty przeżywają wszelkie zmiany i kierunki. Siemiradzki też pozostanie jednym z wielkich mistrzów naszych czasów, dzieła jego będą stanowiły zawsze potężną dźwignię w krainie malarstwa.

Dla naszego rodzimego malarstwa w znaczeniu indywidualnym może nie wniósł Siemiradzki tyle, ile potęga talentu jego pozwalała, ale sędzić artystę bezstronnie można tylko na tle warunków osobistych, społecznych i ducha czasu, to więc wywarło, że malował nie pod wpływem naszej natury i otoczenia. Co zaś do samych utworów, wystarczy powiedzieć, że nie zawsze i to często, nie mieli racji i krytycy nasi (niestety nieraz bez wiedzy prawdziwie fachowej), zarzucając to i owo. Ta wrzaskowa akademiczność i sztywność w postaciach, jest nie wynikiem braku odczuwania ruchu, lecz tendencyą czysto artystyczną. Siemiradzkiego świat wrażeń malarskich rozwijał się na tle życia rzymian, jak wiadomo, a ci dworacy i patrycjusze mieli z dzieciństwa wyuczoną pozę w każdym calu swej istoty i ztąd te pozy teatralne, jak na przykład w „Dyrce chrześcijańskiej“, ale i tu wielki artysta umiał utrzymać się na wysokości. Nie są to jednak tak zwane modele bez ruchu, lecz widzi się wyraźnie, że ci ludzie poznają, pokrywając swęje uczucia i myśli przed drugimi. Pamiętać trzeba, że figury Siemiradzkiego zawsze miały wyraz. Nie zapomnę nigdy wrażenia szlachetnego skupienia, jaki wywierają postaci choćby w dziele „Szopen u Radziwilla“. Każda twarz wyraża to samo skupienie ducha pod wpływem tonów wielkiego muzyka, a jednak każda inaczej to czuje, indywidualnie subtelnie wchłania w siebie i cały przeprzech a bogactwo uczuć psychologicznych maluje się na tych twarzach, a jakie to sylwetki tych figur, jak znakomicie odtworzone w ruchu właściwym każdemu indywidualnie, a chyba o tem, że mistrz Siemiradzki był wielkim kolorystą ani mówić nie opowiadać nie trzeba, w naszym zaś malarstwie będzie on zawsze tym, na którym uczyć się będą młode pokolenia artystów. Słowa pochwalne lub naganne przeminają jak podmuch wiatru, a wielkie dzieła polskiego malarza wieki przetrwają.

Bywały w ostatnich latach utwory świadczące o osłabieniu ducha wielkiego malarza, lecz temu podlegają wszyscy bez wyjątku, na ciągłą doskonałość tylko Bóg się zdobyć może. Raz jeszcze wołam: cześć pamięci wielkiego artysty.

Warszawa.

Paweł Rosen.

Henryk Siemiradzki w sztuce w ogóle zajmował stanowisko dekoratora w wielkim stylu, łączącego ogromny dar kompozycyjny z niesłychanym „sprytem“ kolorystycznym — oba te przymioty najwybitniej występują szczególnie w dawniejszych jego dziełach.

Dla sztuki polskiej w szczególności zasłużył się niezmiernie stworzywszy „Świeczniki chrześcijaństwa“, dzieło poważne, świetnie wykonane, które dzięki tematowi przystępnemu, zrozumiałemu i odczutomu przez wszystkie narody, szeroko po świecie głosiło sławę polskiego malarstwa.

Warszawa.

Fr. Żmurko.

Henryk Siemiradzki w ciągu lat czterdziestu swojej działalności artystycznej — swemi obra-

zami tak na wystawach świata, jak w instytucjach artystycznych, czyli akademiach zyskał możebne najwyższe honory, wszak krytyka współczesna wystawami dzieł jego wykazała zalety i zasługi tego artysty!

Więc *On sam!* wypowiedział najlepiej czem był i czem jest dla sztuki wogóle, a dla naszej w szczególności. *On sam!* swymi dziełami, swym talentem, swą pracą, swem życiem nie tylko pozyskał dla siebie i rodziny byt i sławę światową, ale także chlubę dla sztuki i dla kraju, którego był synem.

Teodor Rygiel.

Roma Via San Giacomo 20.

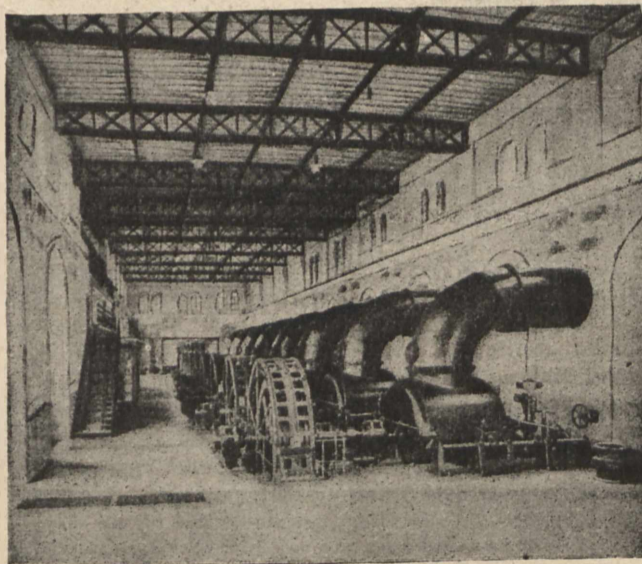
Kronika naukowa.

Zużytkowanie sił przyrody.

Rozpatrując olbrzymie postępy przemysłu, osiągnięte w drugiej połowie XIX stulecia dzięki ulepszeniom maszyn parowych, dynamo-elektrycznych i innych, zwrócić musimy uwagę na źródła energii jeszcze niewyżytkowanej, które przez tysiące lat marnowały się bezpowrotnie. Na schyłku abiegłego stulecia zaczęto już pojmować korzyści materialne, jakie dają się osiągnąć, gdy zdolamy wyzyskać siły przyrody w celu wprawiania w ruch maszyn; tą drogą dadzą się zaoszczędzić olbrzymie ilości węgla i praca ludzi. Pomimo, że dotąd niewiele jeszcze zrobiono w tym kierunku, próby dotychczasowe wskazują, że do ujarznienia sił przyrody wzięto się energicznie, nie szczędząc ani olbrzymich kapitałów, które bezwarunkowo zostaną wkrótce wycofane, ani pracy i zdolności najwybitniejszych inżynierów.

Ze wszystkich tych prób wylania się obecnie, jako najbardziej produkcyjne użytkowanie siły wodospadów do wprawiania w ruch fabryk. Najprzód zwrócono się do wodospadów Niagary, znajdujących się między jeziorami Erie i Ontario. Gdy misjonarze francuscy odkryli ten wodospad w r. 1678, nauka o elektryczności była w kolebce i miało jeszcze upłynąć półtora wieku zanim wynaleziono sposób wytworzenia prądu mechaniczną prąd elektrycznego. W r. 1886 utworzyło się parę towarzystw, mających na celu użytkowanie spadku wód Niagary. W tym celu oddzielono część wody poniżej wodospadu i ciśnienia jej użyto do poruszenia pewnej liczby turbin.

Pominąwszy szczegóły przeprowadzenia kanałów dla zwrócenia biegu wody w kierunku właściwym zaznaczyć należy, że przykład amerykański dał impuls do innych przedsięwzięć podobnych. Obecnie Rzym jest oświetlony elektrycznością, którą czerpie dynamo z maszyn, poruszanych przez wodospad *Tivoli*, odległy o 3 mile geogr. od Rzymu. Szwajcaryja, Francja, Anglia i Włochy posilkują się teraz w znacznej mierze siłą spadku wód. Niedawno ukończono stację centralną w Vizzola w bliskości Medjolanu, z której rozchodzi się sieć drutów, przeprowadzających dzięki wodospadowi energię elektryczną na znaczne przestrzenie. Instalacja ta, urządzona przez grono miejscowych kapitalistów, kosztowała 10 milionów lirów (blisko 4 miliony rubli).

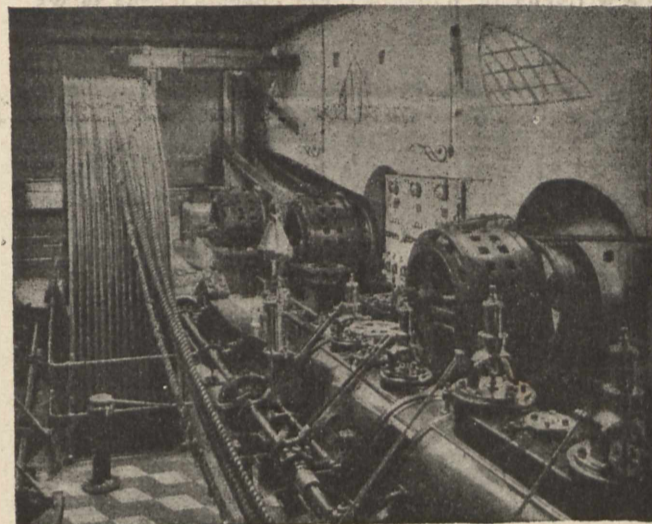


Powyższy rysunek przedstawia wnętrze sali turbin na stacji centralnej w Vizzola (około Medjolanu); turbiny, wykonane częściowo w Niemczech i we Włoszech, posiadają siłę przeszło 20,000 koni parowych i podzielone są na 10 części, z których każda wytwarza pracę o sile 2,000 koni parowych. Turbiny te wprawiane są w ruch przez wodospad na rzece Tessin, dopływającej rzeki Po. Ażeby sprowadzić wodę do turbin, przekopano kanał długości 6,900 metrów (około 6¹/₂ wiorst), z którego

spada na turbiny woda w ilości 75 metrów sześciennych na sekundę z wysokości 24 metrów. Przy takim stanie spada 63 metry sześć wody, ażeby więc utrzymać jednakowy zawsze spadek, postarano się zwiększyć go sztucznie do wysokości 28 metrów. Woda z kanału, przed samym wejściem do stacji głównej, wchodzi w zagłębienie ziemi, wylewa się do obszernego basenu i ztamtąd dopiero 13-toma rurami spada na turbiny, które wprawiają w działanie dynamo maszyny, dające prąd o natężeniu 10,000 volt. Ze stacji centralnej rozchodzi się sieć drutów, przenoszących energię elektryczną na odległość 120 kilometrów (16 mil geogr.).

Cała instalacja była dokonana przez firmę Schuckert z Norymbergii trwała blisko 2 lata.

Poniżej podajemy węższe sali maszyn w mieście Busto-Arficio, odległym od stacji centralnej



na 10 kilometrów, gdzie są wprawiane w ruch maszyny przy pomocy energii elektrycznej, dostarczonej przez spadek wód. Wiele innych miast otrzymuje tą drogą prąd dla celów fabrycznych lub też przemysłowych.

Spadek w Vizzola zajmuje niepoślednie miejsce wśród wielu innych w Europie, służących do tych samych celów, jak to wskazuje niżej zamieszczona tablica.

	Siła w koniach par.	Wysokość spadku.
Spadek na Rodanie.	18,000	10—12 metr.
w Bheinfelden.	15,000	3—5 „
„ Chévres.	14,000	4—8 „
„ Morgebno.	7,500	30 „
„ Bozen-Meran.	6,000	70 „
„ Vizzola.	23,000	24—28 „

Instalacja w Vizzola zasila również kolej elektryczną na przestrzeni Medjolan — Varese.

Przez zaprowadzenie turbin na rzece Tessin włosi oszczędzają rocznie 2¹/₂ miliony lirów (blisko milion rubli), wydawanych poprzednio na zakup węgla angielskiego.

Nowa kometa.

Komety, widzialne gołym okiem, są rzadkością; zaledwie jedna zdarza się w przeciągu 4—5 lat. W drugiej połowie XIX stulecia wzbudzała podziw kometa z r. 1858, później z r. 1861—2; były również widoczne komety w latach 1874, 1881—2, ostatnio zaś piękna kometa r. 1886, widzialna przez 10 dni w kwietniu przed wschodem słońca.

Na półkuli południowej obserwowano wielką kometa w r. 1882, a odbitek zdjęcia fotograficznego umieścił w swoim czasie w „Wiek“.

O kometach teleskopowych, dostępnych jedynie dla osób, posilkujących się wielkimi narzędziami, nie wspominamy, zaznaczając, że astronomowie wylawiają ich corocznie po kilka.

Obecnie ukazała się na niebie nowa kometa, która przy sprzyjających warunkach atmosferycznych oraz nocach bezksiężycowych może być przez pewien czas obserwowana przy pomocy lornetki. Przedstawia się ona jako mały obłoczek unglisty z wydłużeniem, stanowiącym warkocz.

Po raz pierwszy została dostrzeżoną w obserwatorium Lick w Kalifornii przez znanego astron-

ma Perinne'a d. 31 sierpnia r. b. Świeciła wtedy słabo, jądro posiadało blask gwiazdy 9 ej wielkości, gołem okiem nie mogła być dostrzeżona. Ponieważ miejsce na niebie, w którym ją dostrzeżono, mianowicie gwiazdozbiór Perseusza, nie zachodzi w ciągu nocy, kometa wynaleziono bezpośrednio w wielu innych obserwatoryach na początku września.

Stopniowo jądro komety zaczęło zwiększać się blasku: w drugiej połowie września posiadało blask 7 wielkości, a począwszy od dnia 23 września kometa mogła być dostrzeżona gołem okiem, a najlepiej przy pomocy zwykłej lornetki teatralnej. Najsilniej kometa świeciła d. 8 października r. b., gdy średnica pozorna dochodziła do $\frac{1}{4}$ średnicy księżyca, obecnie zaczyna oddalać się od ziemi, dążąc ku słońcu. Droga, którą przeszła kometa Perinne'a od chwili ukazania się na niebie do chwili obecnej jest znaczną; obejmuje parę gwiazdozbiorów.

Z Perseusza przeszła w końcu września do gwiazdozbioru Cefeusza, w październiku znajdowała się w Łabędziu, potem w Lirze, obecnie można ją znaleźć w gwiazdozbiorze Herkulesa. Oznaczywszy powyższą drogę na mapie nieba, przekonamy się, że kometa szybko przebiega z północy na południe, zbliżając się ku równikowi niebieskiemu. Jej odległość od ziemi zmieniła się w sposób następujący: 24 września wynosiła 86 milionów kilometrów, d. 4 października była najmniejszą i wynosiła 55 milionów kilometrów. D. 12 października kometa oddaloną była od ziemi 0.63 miliony kilometrów, a w d. 16—o 73 milj. kilom. Kometa jednocześnie zbliża się ku słońcu. W d. 24 września przestrzeń między kometa i słońcem wynosiła 210 milj. kilom., a w 23 listopada w punkcie przysłonecznym wyniesie będzie 59 mil. kilom.; następnie kometa zacznie się oddalać od słońca.

G. Tołwiński.

nowej, dobrze leżącej sukni, w zręcznym paltocie, w gustownym kapeluszu, mimowoli uśmiechamy się do życia, do siebie no—i czasem do najbliższego naszego otoczenia.

W październiku nie ma jeszcze mowy o rautach i zebraniach większych. Ruch towarzyski Warszawy jeszcze napół uśpiony, powoli budzi się do życia, zaczynamy spotykać się tu i owdzie, a że mamy sobie wiele do opowiedzenia, zaczniemy wkrótce zapraszać



Fig. II.

się wzajemnie i rozpoczną się coroczna światowa kampania, ilustrowana rautami, obiadami, balami, wieczornicami, jour fix'ami, five o'clockami i t. d. i t. d. Wszelkądna moda roztoczy nad tem strategicznym polem modno światowej działalności swoje olbrzymie, świetlane, motyle skrzydła, których każde drgnięcie będzie objawem jakiegoś wykwintnego rozkazu, mającego na celu podniesienie wrodzonego nam wdzięku, upiększenie naszych postaci.

Moja modno-kronikarska godność pozwoliła zbliżyć się do wszelkądnej pani naszej, stanęłam pod mytylemi skrzydłami i oto co ich czarowny szelest mi powiedział.

Przedewszystkiem słowo o kapeluszach. W wyborze ich kształtu koloru i przybrania panuje wielka swoboda. Nosimy i nosić będziemy tej zimy takie, w jakich nam do twarzy, za co Modzie i nam należy się gorące słowo uznania wogóle kształt i rysunek pokrycia głów naszych przedstawia się w liniach płaskich. Począwszy od bardzo skromnych a bardzo łagodnych filcowych *canotier* o brzegach dość dużych, zlekką podwiniętych, a skończywszy na bardzo strojnych beretach, wszędzie spotykamy główki płaskie, prawie talerzykowate. Na szta Figura I to model z *Maison Nouvelle* w Paryżu. Wspaniale się ona przedstawia. Naturalnie kapelusz taki wymaga powozu, no i ślicznej młodej buzi. Do spaceru pieszo, do zwykłego wyjścia lub nawet na niecer-



Fig. III.

niałą wizytę, te filcowe *canotier* są bardzo ładne i właściwe. Kapelusz taki z pięknego, miękkiego, jasno-popielatego filcu, z brzegiem ciemniejszym, czarnym lub też białym, opasany aksamitką i ozdobiony piękną ciemno-bordo papugą lub białą mewą, bardzo dobrze przyzwycięży wygląda i jest wogóle każdej z nas do twarzy. Warszawa jest obecnie zasypana tym typem kapeluszków, trzeba tylko umieć wybrać a nie przepłacić; za 6 do 8 rubli można już mieć coś eleganckiego w tym rodzaju, naturalnie w magazynach drugorzędnych, w pierwszorzędnym bowiem, gdzie głównie płaci się za firmę, eleganckie urządzenie sklepu i marką francuzczyzną pani właścicielki żądają za taki sam 12 do 14 rubli.

Teraz słowo dotyczące się okryć jesiennych. Tutaj także panuje wielka różnorodność, normująca się, jak każda zresztą kwestya tualetowa, bardzo wieloma względami, z których najważniejszym jest kapitał nakładowy czyli koszt, oraz nasza osobistość, czyli wygląd. Najładniejszym według mnie jesiennym okryciem jest palto sac, z pięknego materiału, sięgające do ko-

lan, podbite materyą z dużym okrągłym kołnierzem i ranwersami przy rękach (Fig. IV). Jakież to ładne i wygodne! Pamiętaj jednak trzeba, że takie palto musi być doskonale krojem i wykończeniem, nie znosi mierzoty wykonania i dla tego jest kosztowne. Nosić będą bardzo futurzane bolera (patrz Fig. III) z karakułów, soboli i t. p. Kaftanik taki ślicznie i bardzo wytwornie wygląda, ale wymaga właśnie pewnych osobistych warunków, mianowicie szczupłości i zręczności talii; te z nas, które natura zbyt pełnemi wyposażyla kształtami, muszą się wyrzec tego rodzaju okryć. To samo da się powiedzieć i o kaftanach *Sans gêne* (patrz fig. II). Tylko wysoka i szczupła osoba zrzęcznie w nich wyglądać może. Dla osób starszych, tęższych i najpraktyczniejszym okryciem jest i pozostanie długa peleryna na futrze lub wacie jedwabnej z futurzanym kołnierzem i wylogami.

Kwestya kapeluszy i okryć to zaledwie mała część jesiennych nowości. Skrzydlaty motyl wiele mi jeszcze ma do powiedzenia; będę słuchać uważnie, aby za dni kilkanaście znowu podzielić się z Wami, Szanowne Panie, tem wszystkim co usłyszę i zapamiętam.



Fig. IV.

Figura I. *Kapelusz strojny jesienny.* (Model paryżki). Duży beret odwinięty nad czołem i po bokach. Jasno-lila *Satin Liberty* układany w małe bufki, przykrywa cały kapelusz, na rondzie dwa olbrzymie strusie pióra białe, przy włosach girlanda z dużych białych złocieni, uczesanie secesyjne, zlekką przykrywające czoło.

Figura II. *Ubranie spacerowe.* (Model londyński). Jasno-popielate sukienko. Spódnica trochę powłóczysta i falująca od dołu, ozdobiona pliskami w kształcie okrągłych zębów. Kaftanik *Sans gêne* również ozdobiony zębami, rękawy zupełnie obcisłe od góry ze sporą bufą, przy rękach wycięte w dość szeroki pasek. Kołnierz marynarsko-szalowy, przybrany aplikacją. Na spięciu kaftana trzy przybrania szmuklerskie według wzoru. Kapelusz popielaty filcowy, brzeg czarny aksamitny, wązka draperyja z białego *moussline de soie*, białe strusie krótkie pióra pod kapeluszem na włosach.

Figura III. *Bolero futurzane.* (Model paryżki). Czarne karakuly lub skunksy. Bolero wyrzucane bluzkowato z przodu, wszyte w czarny wązki aksamitny pasek, duży marynarski kołnierz z futra białego lub popielatego, mianowicie z baranków, gronostajów lub *chinchili*, dwa duże guzy na przednim spięciu, rękawy obcisłe od góry, rozszerzone *en pagode* przy rękach. Beret z czarnego zrzęcznie drapowanego aksamitu z białymi atlasowymi wypustkami, z tyłu duża aksamitna kokarda, spadająca na włosy.

Figura IV. *Ubranie spacerowe.* (Model paryżki). Powłóczysta falista spódnica z grubego granatowego szewiotu, zupełnie gładka, bez żadnych przybrań. Palto sac do kolan z angielskiego płótna granatowego z białym, w małą kratkę. Rękawy rozszerzone przy rękach. Kołnierz szalowy i szeroki mankiet z czarnego aksamitu w białe centki, duże guziki na przodzie, po obu bokach rozciętane kieszenie bez kłapek. Kapelusz niemiernie fantazyjnie wygięty, przybrany wałeczkami z białego atlasu, na rondzie dwie małe papugi, pod rondem jedna cała papuga, jakby siedząca na włosach. Kolor papug dowolny.

Figura V. *Strojna wieczorowa bluzka.* (Model wiedeński). *Satin Liberty* koloru *bleu lavé* w białą ukośną wypukłą kratkę, kołnierz i mały okrągły karczek z białego *moussline de soie*, koło karczku i na przodzie wszyta biała atlasowa z niebieskim haftem, niżej wszyte ozdobne turkusowe guziki, bluzka wszyta w pasek z tego samego materiału, rękawy bardzo oryginalnie zakończone według wzoru ogromną bufą z materiału zwanego *plumeti* białego z niebieskim; przy samym rękach pasek.

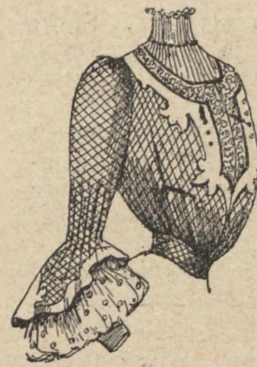


Fig. V.



MORIN.

BRADSKY.

Ofiary katastrofy balonowej w Paryżu.

(Patrz kor. w Nr. 284).

KRONIKA MODY.

(L. N) Połowa października to kres letniego sezonu, to powrót ze wszelkich, choćby dalekich podróży i długich zamiejskich pobytów. Zawszą wracają wszyscy. Warszawa odzyskała już swój wygląd wielkomiejsowy, tłumy roją się po ulicach, wszędzie gwaro, teatry, wystawy, wyścigi sklepy i magazyny przepelnione. Nikogo o nie doprosić się nie można. Modystki i te wielkie, które jeżeli nie do Paryża, to wyjeżdżają po nowości co najmniej do Katowic lub Wrocławia, i te małe, które po szumnej reklamie o zamierzonym wyjeździe, idą na ulicę S-to Krzyżką lub na Nalewki, nie mogą podolać sprzedaży różnyc okazów kunsztu kapeluszniczego, krawców we pomieszczeniach na drzewach swych mieszkań napisy „Obstalunki nie przyjmują się” lub „Robota wykończy się wyłącznie z własnych materyjów,” tapicerzy przeszli w dziedzinę mitu, nawet obecność zduna przy dymiącym piecu należy do osobliwości, jednym słowem wszędzie i na każdym kroku napotyka się na nieprzewyciężone trudności, wynikłe z pełnego jesiennego sezonu. Po tej walce o byt jesienny i zimowy, po tych wszystkich zabiegach i kłopotach gospodarstwu tualetowych, jakże niewystawienie miło znaleźć się w odświeżonym i nareszcie gotowym mieszkaniu, uczyć pod stopami miękkimi, wyjęty z ukrycia dywan, ujrzyć przy oknach ładne firanki i portyery, pieścić oko ulubionymi, wolnymi od wszelkich obston cackami, lustrami, obrazami i t. p. Te gniazda nasze, opuszczone przez czas jakiś, stają się nam podwójnie drogie, a kiedy w dodatku (bardzo zresztą ważnym) stanąwszy przed ustrem, ujrzymy postać naszą ładnie narysowaną w



Fig. I.